

Przemysław Prekiel

Piotr Zychowicz w majowym numerze „Uważam Rze Historia” nakreślił historię II RP jako państwa wzorowego, elitarnego, z którego my jako Polacy winniśmy być dumni. Mimo ewidentnych sukcesów w tych niełatwych czasach, które oczywiście były, grubą przesadą jest jednak idealizowanie II RP, z której powinniśmy brać jakikolwiek przykład. Sprawa ocen II RP nie jest jednoznaczna, nadal budzi wiele emocji. Oceny najczęściej zależą nadal od politycznego usytuowania autorów, a nie od zimnej interpretacji oczywistych faktów i wskaźników.

Fatalna gospodarka

Z niewiadomych przyczyn red. Piotr Zychowicz kompletnie pominął w swoim materiale sytuację gospodarczą II RP. A była ona katastrofalna i to przez cały jej okres. Widocznie dla tego prawicowego publicysty podstawą ocen była sytuacja wojskowych elit, a nie zwykłych obywateli, którzy cierpieli głód, nędzę, nie potrafili czytać i pisać a dodatkowo zmagali się na co dzień z trudnościami życia w autorytarnym państwie. Dla przykładu, sąsiednia Czechosłowacja, o podobnej przeszłości, która również odzyskała niepodległość w tym samym czasie co Polska jako jedyne państwo w tej części Europy pozostało państwem demokratycznym. A jej wewnętrzna sytuacja gospodarcza przewyższała II RP. Czechosłowacja należała w tym czasie do najbardziej rozwiniętych gospodarczo i technologicznie państw Europy.

Jak w tym samym czasie wyglądała sytuacja II RP? Słowo katastrofalnie brzmi tu jak najbardziej na miejscu. Przedwojenne dane demaskują II RP, jako państwo z którego – jak pisze red. Zychowicz- możemy być dumni i państwo z którego możemy być dumni. II RP była państwem zdecydowanie rolniczym. W 1938 roku ludność wiejska stanowiła 70 proc. ludności kraju. Obraz nędzy polskiej wsi z tamtego okresu znany jest dobrze wszystkim tym, których rodzice bądź dziadkowie opowiadali i przekazali młodszemu pokoleniu. I tak polska wieś była praktycznie pozbawiona elektryczności, dotyczyło to aż 2/3 gospodarstw rolnych. Z danych z 1945 roku wynika, iż zelektryfikowanych było wówczas tylko 70 tys. z ponad 2,3 mln gospodarstw rolnych, tj. ok. 2 proc.. Jeśli dodamy do tego fakt, iż znaczna część tych gospodarstw znajdowała się na Ziemiach Odzyskanych ukazuje to kompletną zapaść polskiej wsi, jej zacofanie i rzeczywisty upadek. Nie wolno również zapominać o jej ogromnym przeludnieniu, co dodatkowo potęgowało patologię i biedę.

Bieda i zapaść polskiej wsi prowadzić musiało do nie tylko biedy całego społeczeństwa, ale po prostu głodu, który stał się stałym elementem II RP. I tak w latach 30-tych podaż kaloryczna wśród rodzin robotniczych i chłopskich była znacznie mniejsza niż uznawana przed medycyną jako prawidłowa. W Polsce było to 1660 kcal a jako prawidłowe przyjęło się, że wynosić powinno 2300 kcal dla osób wykonujących pracę biurową oraz 4000 kcal dla osób pracujących fizycznie.

Bezrobocie to największy ludzki dramat. Dramat, który dotyczyć może niekiedy całych rodzin. W II RP pojęcie bezrobocia było dobrze znane jej obywatelom. Tuż przed wybuchem wojny rejestrowane bezrobocie wynosiło ok. pół miliona osób, jednak nie należy zapominać o tym, że wiele osób pracujących w rolnictwie pracowało wówczas nie za pensję, a za wyżywienie i za dach nad głową.

Analfabetyzm był chyba sztandarowym czynnikiem przedwojennej Polski. Wynosił wówczas

wśród osób powyżej 10 roku życia 23 proc., w tym w miastach 12,2 proc. a na wsi 27,6 proc. Na niemal 35 milionów obywateli RP (tuż przed wybuchem wojny) wyższe wykształcenie posiadało tylko 80 tysięcy osób i tylko kilka tysięcy miało jakiekolwiek wykształcenie zawodowe. W miastach tylko 13 proc. budynków posiadało kanalizację, 16 proc. - wodociąg, 8 proc. - instalację gazową, a aż 56 proc. nie miało żadnej, 38 proc. budynków posiadało instalacje elektryczne.

Mniejszości narodowe

Wszelkiego rodzaju mniejszości są zawsze solą w oku prawicy. Nie inaczej było w przypadku red. Zychowicza, który w jednym tylko zdaniu zająknął się na ten temat, pisząc, że uprawiano „krótkowzroczną politykę wobec obywateli narodowości innych niż polska”. Spójrzmy jak to wyglądało dokładnie.

Mniejszości narodowe w Polsce przed wybuchem II Wojny Światowej stanowiły ok. 30 proc. obywateli. Największą stanowili Ukraińcy, ok. 10 proc., Żydzi, ok. 9 proc. oraz Rusini, 4 proc.. W granicach II RP żyli również Białorusini, Niemcy, Rosjanie i inni. Razem to kilka milionów obywateli. Jak wyglądał stosunek państwa do tych obywateli? Lekko mówiąc nie najlepiej. Czy mniejszości narodowe zamieszkujące tereny II RP czuły się z polskim państwem związane? W zdecydowanej większości zapewne nie i trudno dziwić się Ukraińcom czy Żydom, że mieli właśnie taki stosunek do polskiego państwa skoro władze na każdym kroku podkreślały, że są oni obywatelami drugiej bądź trzeciej kategorii.

Jan Józef Lipski w swoim słynnym esej „Ile ojczyzn, ile patriotyzmów?” w znakomitej analizie rozlicza polską odpowiedzialność na krzewienie wrogości do mniejszości narodowych.

„Polsko-litewski konflikt o Wilno był, to prawda, trudny do załatwienia. Obydwa narody czuły się związane z tym miastem emocjonalnie - podczas gdy (rzadko o tym pamiętamy) przynajmniej południowo-zachodnia Wileńszczyzna, włącznie z Wilnem, miała większość etnicznie polską. Rozwiązania federacyjnego, do którego parł Piłsudski, mało kto sobie życzył, udaremnił je ostatecznie polscy nacjonaści. Do dziś Litwini żywią do nas zapiekłą niechęć za Wilno, gdy ulicami polskich miast przeciągały pochody skandujące: „Wodzu - prowadź nas na Kowno!”, jakby w polskim godle narodowym widniał nie biały orzeł, lecz Koziołek Matołek. My do dziś żyjemy do Litwinów niechęć za to, że wydali z siebie w czasie drugiej wojny światowej formacje kolaboracyjne, szczególnie dotkliwe dla Polaków (jeszcze bardziej dla Żydów). To błędne koło musimy przerwać! Gdy w Kownie doszło niedawno do rozruchów na tle narodowo-religijnym - nastrój solidarności (niestety - tylko nastrój) był w Polsce powszechny. Może to dobry omen. Z łagodnymi, cichymi Białorusinami nigdy nie mieliśmy tak ostrych konfliktów jak z Ukraińcami. Warto jednak przypomnieć, że II-ga Rzeczpospolita też zostawiła wobec nich bilans win, pod postacią tendencji polonizacyjnych, wyrażających się głównie upośledzeniem szkolnictwa białoruskiego.

Naszym zadaniem powinno być, by tego rodzaju zjawiska nie powtórzyły się. Najgorzej było z Ukraińcami. Pierwsza wojna II-giej Rzeczypospolitej była - o czym nie każdy pamięta - polsko-ukraińska wojna we Wschodniej Galicji. Lwów zrósł się przez wieki z historią i kulturą Polski do tego stopnia, że będąc miastem, w którym ludność polska wyraźnie przeważała nad ukraińską - trudno było sobie wyobrazić w owym czasie rezygnację z niego. Rozstrzygnęła siła. To smutne, ale nie niezwykle w dziejach, gdy dwa narody nie znajdują innego rozwiązania konfliktów jak wojna. Rachunek krzywd ukraińskich zaczyna się później. Irredenta ukraińska,

nieustannie stymulowana przez - nie ma co ukrywać - faszyzujących nacjonalistów ukraińskich szukających oparcia to w Niemczech, to w niechętej nam Pradze - była trudnym problemem dla II-giej Rzeczypospolitej. A jednak wojewoda Józewski na Wołyniu umiał rozładowywać napięcia i dla dobra Rzeczypospolitej popierał kulturalne inspiracje ukraińskie. Ignorowanie narodowych i kulturalnych potrzeb Ukraińców było drogą donikąd. Pacyfikacje - tak jak były robione - są hańbą, niezależnie od tego, jak trudna sytuacje stwarzali aktami terroru i sabotażu nacjonaści ukraińscy. Dla przyszłości obydwu narodów lepiej byłoby, gdyby okres II-giej Rzeczypospolitej został w pamięci Ukraińców jako epoka, w której we Wschodniej Galicji i na Wołyniu kwitły kulturalne instytucje ukraińskie pod mecenatem Rzeczypospolitej, z uniwersytetem ukraińskim we Lwowie na czele. Ten dorobek profitowałby do dziś i dłużej dla obu narodów. Stało się inaczej. Druga wojna światowa nierówno obciążyła rachunki win, które obydwa narody wzajemnie sobie wypominają. Tym razem niewiele mieliśmy sobie do wyrzucenia. Za to zaraz po wojnie, gdy oddziały UPA po klęskach zadanych im przez armię sowiecką zostały zepchnięte na południowo-wschodnie krańce protektoratu polskiego i rozgorzała walka w Bieszczadach - pomysł załatwienia problemu, jaki stanowiła partyzantka ukraińska na tych ziemiach, przez zamienienie ich w pustynię, tj. przez wysiedlenie Łemków i rozproszenie ich po Polsce - był pomysłem szatańskim, który zrodził się zapewne w głowie któregoś z „doradców z NKWD, praktykujących z talentem rzymską zasadę divide et impera - a znających precedensy na skale o ile większą ze swego kraju.

Największe spory etniczne – a na pewno najbardziej brzemienne w skutkach były związane z Żydami. Dochodziło przecież do pogromów: Przytyk, Mińsk Mazowiecki oraz Myślenice. Z danych wynika, że w latach 1935-1938 w wyniku zająć antyżydowskich rannych zostało 1300 Żydów w ponad 150 miastach i miasteczkach. A więc nie jest to żaden margines ani zwykły, choć i tak haniebnym, ekonomiczny bojkot Żydów. To realny problem, który tuż przed II Wojną Światową w Polsce rozkwitł na dobre.

To wszystko miało miejsce kilka lat przed II Wojną Światową. Nie w Niemczech, czy ZSRR tylko w Polsce.

Jeśli dodamy do tego haniebną praktykę na wyższych uczelniach z gettami ławkowymi, wylania się obraz kraju antysemitckiego, przesiąkniętego prawicową ideologią, z którego trudno być dumnym. Rozkaz Wydziału Wykonawczego ONR-ABC brzmiał jednoznacznie: „W wykonaniu numerus nullus poleca się wszystkim członkom ONR, gdyby kto spotkał Żyda na uczelni, pobić go i wyrzucić z terenu uczelni. Jeśliby okazała się przeważająca siła Żydów lub woźnych, którzy by stawali w obronie Żydów, należy zaalarmować innych kolegów do pomocy. Rozkaz niniejszy bezwzględnie musi być wykonany. Numerus nullus musi być zrealizowany tak, jak rok temu zostało zrealizowane getto”. Redakcyjny kolega Piotra Zychowicza Rafał Ziemkiewicz nie tak dawno w „Plus Minus” w bardzo znamienym tytule „Przepraszam ONR” kajał się za to, iż tak źle oceniał tę organizację. Okazuje się, że antysemityzm, ksenofobia i jawny rasizm nadal znajduje wśród salonowych prawicowych mediów wzięcie.

Jak wspomina prof. Krzysztof Dunin Wąsowicz „Popularność zyskało hasło „Żydzi na Madagaskar”, w 1937 r. były adiutant Piłsudskiego pułkownik Mieczysław Lepecki - jako szef komisji rządowej - badał możliwości osiedlenia polskich Żydów na Madagaskarze. Tym niemniej rozpowszechnienie się antysemitckiej plagi przed wojną, to endecka robota. Antysemici posiadali silne oparcie w Kościele katolickim. Wielkie oddziaływanie miał rozchodzący się w

masowym nakładzie „Mały Dziennik” wydawany przez ojca Maksymiliana Kolbego, który zginął w Auschwitz. „Mały Dziennik” był niesłychanie antysemicki. Pisał o zagrożeniu, jakie dla Polaków i katolicyzmu stanowią Żydzi. Ich celem miało być rzekomo narzucenie narodowi polskiemu swojej woli. Bodaj głównym ideologiem antysemickim był ksiądz profesor Stanisław Trzeciak, święcie przekonany o prawdziwości sfabrykowanych przez carską Ochronę „Protokołów Mędrców Syjonu”, które miały uprawdopodobnić istnienie światowego spisku żydowskiego.

Ta teoria była zgodna z poglądami księdza Trzeciaka, który patrzył na rewolucję w Rosji jak na fragment tego spisku. Trzeciak pisał, że za głoszonym przez bolszewików hasłem światowej rewolucji kryje się dążenie Żydów do panowania nad światem. Komunizm i bolszewizm uznawał za główne zło, dlatego sympatyzował z polityką Hitlera. Pojęcie „żydokomuny” zadomowiło się w Polsce przed wojną – ono zawsze było hasłem propagandowym narodowej prawicy. Hitlerowska propaganda w okupowanej Polsce umacniała rozpowszechniane przed wojną antysemickie teorie, obraźliwe, kłamliwe opinie typu „Żydzi – wszy – tyfus plamisty”. Pomagali jej w tym endecy, którzy także w czasie okupacji traktowali Żydów jako wyrzutków społecznych, element obcy i wyobcowany, zagrażający narodowi polskiemu. Ich poglądy trafiały do wielu ludzi, którzy myśleli: „Hitler załatwi za nas kwestię żydowską”. To powiedzenie było bardzo popularne szczególnie wśród drobnomieszczaństwa: właścicieli sklepów, zakładów rzemieślniczych, małych fabryk. Oni sądzili, że po zlikwidowaniu Żydów na zawsze pozbędą się konkurencji, zajmą opuszczone sklepy i fabryczki”.

Jestem głęboko przekonany o tym, iż gdyby nie agresywna antysemicka retoryka narodowej prawicy, która ewidentnie wpisała się w polityczny krajobraz II RP- sytuacja Żydów w czasie okupacji wyglądałaby zupełnie inaczej a i polskie społeczeństwo spojrzałoby na dramat Holocaustu inaczej. Słusznie pisał Adam Ciołkosz: „Nie możemy mieć 30 proc. obywateli 2-giej klasy. Musimy młodzież, która ma w przyszłości strzec demokracji i republiki, przyuczyć jednakowo patrzeć na wszystkich współobywateli.”

Sytuacja polityczna

Nie mogę pojąć, dlaczego red. Zychowicz bardzo koniunkturalnie podszedł do opisywania II RP. Pominął bowiem świadomie okres sanacyjnej dyktatury, która doprowadziła do rozkładu państwa i w końcu jego upadku w 1939 roku. Mimo zapewnień jej ideologów nie doprowadziło to do oczyszczenia życia publicznego a wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej skorumpowało i scentralizowało życie publiczne. A dyktatura Józefa Piłsudskiego nie była słodką idyllą. W zamachu majowym, w którym zginęło 215 żołnierzy oraz 164 cywilów, notabene znacznie więcej niż podczas trwającego półtora roku stanu wojennego, obóz Józefa Piłsudskiego zaczął powolny etap wdrażania rządów silnej ręki. Rządzenie bez przysłowiowego bata nie miało jednak miejsca. Jak kilka lat później tłumaczył Józef Piłsudski: „Uczyniłem to dlatego, że zdaniem moim, Polska w owe czasy stała na brzegu nieuniknionej i zupełnie widocznej dla mnie przepaści. Sejmowładztwo bowiem, w łączności z całym szeregiem nadużyć, stwarzało sytuację w rodzaju czasów upadku Polski, to znaczy, stawała ona otworem dla każdego, kto chciałby wejść”. Jak się okazało we wrześniu 1939 roku i tak zarówno III Rzesza jak i ZSRR weszli bez większych przeszkód. Dyktatura nie uratowała Polski przed klęską a raczej przyspieszyła jej rozkład.

Zanim jednak Józef Piłsudski został dyktatorem doszło do najsłynniejszego politycznego mord

w historii Rzeczypospolitej. Działacz endecki Eligiusz Niewiadomski z zimną krwią zamordował prezydenta Gabriela Narutowicza, gdyż ten wybrany był głosami mniejszości narodowych. Po zabójstwie prezydenta uformowała się tajna organizacja o nazwie Pogotowie Polskich Patriotów o charakterze faszystowskim i klerykalnym. Tuż po zwycięskim przewrocie Mussoliniego we Włoszech polscy faszyści wyczuli swoją szansę, pomocny w tym okazał się Kościół katolicki. Zaprzysiężenie członków odbyło się w kościele kapucynów w Warszawie. Przysięgę odebrali księża: Kaim, Wiśniewski i Wiator oraz dwaj zakonnicy- Beniamin i Honorat. Nad całą sprawą czuwał abp Kakowski. Zabójca prezydenta Narutowicz również był członkiem pogotowia. PPP chciała uczynić z Polski prawicową dyktaturę o katolickim zabarwieniu. Udział Kościoła do dziś nie został oficjalnie potępiony przez hierarchów. Co prawda kolejny prezydent Stanisław Wojciechowski również został wybrany głosami mniejszości narodowych, jednak jak słusznie pisała Maria Dąbrowska, od tej chwili były „dwie Polski”. Należało opowiedzieć się albo w obronie zmarłego prezydenta, albo - jak to robią do dziś - stanąć po stronie antysemitkiej prawicy.

Po przewrocie majowym zaczęła się brutalizacja życia publicznego. Najbardziej jaskrawymi przykładami były proces Brzeski oraz Miejsce Odosobnienia w Berezie Kartuskiej, które stało się obozem dla więźniów politycznych, działającym w latach 1934-1939.

W pierwszej kolejności aresztowano i przewieziono do twierdzy brzeskiej następujących posłów: Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Herman Lieberman, Mieczysław Mastek i Adam Pragier z PPS, Kazimierz Bagiński i Józef Putek z PSL „Wyzwolenie”, Władysław Kiernik i Wincenty Witos z PSL „Piast”, Karol Popiel z NPR, Aleksander Dębski i Jan Kwiatkowski z SN, Adolf Sawicki z SCh, Józef Baćmaga z BBWR oraz pięciu posłów ukraińskich: Włodimir Celewycz, Osip Kohut, Jan Leszczyński, Dymytr Palijiw i Aleksander Wisłocki. Do tej grupy posłów dołączył w późniejszym terminie Wojciech Korfanty. Na tym jednak się nie skończyło. Aresztowania było kontynuowane, aresztowano na dłużej bądź krócej ok. 5 tys. osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów.

Proces Brzeski był, jak określano, sprowokowaną przez sanacyjny reżim fuszerką, z którą nawet się nie kryto. Akt oskarżenia brzmiał dość zabawnie: „Po wzajemnym porozumiewaniu się i działając świadomie, wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpieniu ich przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego”. Okazało się, że junta wojskowa Józefa Piłsudskiego, która wprowadziła zamach stanu i obaliła legalnie wybrany rząd oskarżała o to obecną opozycję!

Solidarność ze skazanymi w Procesie Brzeskim wykazali ludzie kultury. Protest w obronie podpisali min.: Leopold Staff, Zofia Nałkowska, Wacław Berent, Aleksander Świętochowski, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Maria Dąbrowska, Antoni Słonimski, Julian Tuwim oraz Tadeusz Żeleński-Boy.

Bardzo znamienne były słowa byłego premiera Wincentego Witosa, którego rząd w maju 1926 obalono: „Byłem przecież już jako dorosły człowiek obywatelem innego państwa, zaborczego państwa. Byłem posłem do sejmiku galicyjskiego. W tym sejmie zabierałem często głos i był to głos bardzo mocny, głos bardzo nieraz zdecydowanej krytyki poczynąń rządu. Należałem do parlamentu austriackiego, więc miałem sposobność i tam głos zabrać. W czasie wojny samej byłem uważany jako zwolennik ententy za przeciwnika, więcej, za wroga państwa centralnych. I w czasie tej wojny oskarżono mnie o zdradę stanu i pięć innych przestępstw popełnionych wobec państwa austriackiego. Ale pamiętam: toczono śledztwo, robiono dochodzenie,

przesłuchiwano, a jednak mimo wszystko ten rząd zaborczy, który znał moje stanowisko, znał moją pracę, moje postępowanie, nie wtrącił mnie ani do lochu, ani nie zdeptał mojej godności i mego człowieczeństwa. Wysoki sędzie, ja byłem prezesem tego rządu, który został przez zamach majowy obalony. Nie ja więc knułem zamachy, nie ja robiłem spiski, ale ja wraz z rządem stałem się ofiarą spisku i zamachu. Rząd ten nie był rządem uzurpatorskim, był rządem konstytucyjnym w sposób zupełnie zgodny z prawem, w sposób zupełnie praworządny powołany przez prezydenta Rzeczypospolitej. Kto inny robił zamach, kto inny robił spisek, a na ławie oskarżonych siedzę ja!”.

Skazani w procesie brzeskim, było ich dziesięciu, z czego tylko połowa poddała się karze, połowa udała się na emigrację, trafili w miejsce odosobnienia w Berezie Kartuskiej. W „polskim Dachau” polska władza rozprawiała się z niepokornymi wobec władzy nie gorzej niż zaborcy. Pomysłodawcą był ówczesny premier prof. Leon Kozłowski. Każdy, kto trafił do Berez, bywał na wstępie pobity i zelżony, żeby wiedział dobrze, gdzie trafił. Do więźniów zwracano się per „skurwysyni”, „ścierwo” lub „kurwo”. Na Berezę, jak wiadomo, zgodził się sam Piłsudski. Jak sam stwierdził „na rok”. Jednak Bereza funkcjonowała aż do wybuchu wojny.

W historię obozu niechlubnie wpisał się płk. Wacław Kostek-Biernacki, wojewoda poleski. Ten fanatycznie oddany Piłsudskiemu żołnierz z upodobaniem i sadystycznym zacięciem znęcał się nad więźniami. Stanisław Cat-Mackiewicz, były poseł BBWR, zwolennik Sanacji, który na kilkanaście dni trafił do obozu pod zarzutem „osłabienia ducha obronnego Polaków” pisze o Kostku Biernackim: „W oddanym mu pod opiekę obozie koncentracyjnym z lubością wymyślał tortury, z prawdziwie degeneracką lubością nazywając je pieszczotliwymi nazwami:

»gimnastyką«, »regulaminem«”.

Z innych „łask” w Berezie było min. oddawanie moczu w ciągu zaledwie czterech sekund, codzienne pobudki o 4 rano, z tym, że trudno to nazwać to snem, gdyż co pół godziny każdy z więźniów był budzony przez strażników, a jeśli by się jednak nie obudził, natychmiast oblewany był lodowatą wodą. To wszystko miało miejsce nie w stalinowskich kazamatach czy niemieckich obozach koncentracyjnych, lecz w idealizowanej II RP, która dla wielu do dziś jest symbolem patriotyzmu i wzoru odbudowanej państwowości.

„Ślepa polityka zagraniczna”

Redaktor Zychowicz bardzo często podnosi kwestię patriotyzmu. Nie ulega wątpliwości, że był on szczerzy wśród społeczeństwa. Miał się nijak do ówczesnej polityki prowadzonej przez sanacyjny reżim. Jej krótkowzroczność, naiwność a przede wszystkim ślepa wiara w sojusz z III Rzeszą spowodował największych bodaj hekatombę w najnowszej historii Polski. Potwierdziła to nazistowska okupacja i codzienny, nieustający terror.

Najtragicznieszczą bodaj postacią II RP był jeden z najbliższych współpracowników Marszałka Józefa Piłsudskiego - Józef Beck. Ten ślepo zapatrzony w Komendanta płk Wojska Polskiego przeszedł do historii polskiej dyplomacji jako człowiek przegrany. I co ważne - przegrany na wszystkich odcinkach.

Myśląc Beck, przywołuje się w pamięci jego słynne sejmowe przemówienia z maja 1939 roku: „Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na okres pokoju zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor”.

Szkoda jednak, że tego honoru zabrakło, kiedy to kierował polską dyplomacją. Szereg błędów bowiem jakie popełnił jest niewybaczalny.

To Józef Beck, jak gdyby nigdy nic, zgodził się na niemieckie pogwałcenia Traktatu Wersalskiego. U progu swojego kanclerskiej kadencji Adolf Hitler od razu postanowił przywrócić obowiązkową służbę wojskową. Nie potrzebował, co prawda, zgody mocarstw zachodnich, bowiem doskonale zdawał sobie sprawę, jakie tam panują wówczas warunki. Klimat był jasny - Zachód nie chciał wojny i oprócz ciętego języka nie mógł i nie chciał nic zrobić rozpędzającej się potęgze III Rzeszy. Jednak jeszcze w 1934 Hitler musiał się z państwami zachodnimi liczyć, z Polską również. Dlatego o tym fakcie postanowił poinformować czterech ambasadorów - brytyjskiego, francuskiego, włoskiego i polskiego. Jednak polski ambasador lakonicznie wstrzymał się od uwag. Czyżby nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia, jakie wynikało z nowej sytuacji? A może po prostu został dokładnie poinstruowany przez swojego zwierzchnika? Nie zmienia to faktu, że ten kardynalny błąd dał Berlinowi sygnał na dalsze łamanie postanowień martwego już traktatu. Punktem kulminacyjnym tej fazy dyplomatycznej gry było jednak zaakceptowanie oficjalnie powołanie do życia Wehrmachtu. Józef Beck uczynił to podczas swojej wizyty w Berlinie w dniach 3-4 lipca 1934 roku. Ten sam Wehrmacht zmiażdżył wkrótce polską kawalerię. Co za ironia losu...

Tak licznych spotkań między Warszawą a Berlinem nie było nigdy przedtem ani później. Historia europejskiej dyplomacji nie zna bowiem tak nasyczonego, bogatego programu wzajemnych uprzejmości. Najbardziej płodne okazały się lata 1938-1939, kiedy to szef polskiego MSZ wielokrotnie spotykał się ze swoim niemieckim odpowiednikiem oraz z Hitlerem, który widział Polskę przy swoim boku w marszu na ZSRR.

Ale to nie koniec wymiany uprzejmości. Nastąpiła ich jeszcze cała masa. Polska poszła na rękę Hitlerowi, kiedy to Beck w Genewie oświadczył, że Polska nie będzie z Ligą Narodów rozwiązywała problemów mniejszości narodowych. Führer zrewanżował się gościnnie przyjmując polską mniejszość w Niemczech, dodając, że „deklaracja wpłynie na poprawę i umocnienie przyjaznych stosunków między obu narodami”. Podobny do Hitlera gest wykonał prezydent Mościcki, który przyjął delegację mniejszości niemieckiej.

Kiedy w marcu 1936 roku Niemcy zajmują zdemilitaryzowaną Nadrenię - co było ewidentnym pogwałceniem postanowień Traktatu Wersalskiego - na polskim MSZ nie robi to większego wrażenie. Nie pojawia się nawet nota protestacyjna. Co więcej, w przemówieniach sejmowych Józef Beck zapewnia opinię publiczną o „przyjaznych stosunkach z Rzeszą”.

Całkowitym dziś szokiem może wydawać się sprawa Anschlussu Austrii 12 marca 1938 roku. Kto by pomyślał, że ten gwałt na sąsiedzie pierwsza zaakceptuje Polska?! A jednak. Co więcej sanacyjny rząd – zgodnie z życzeniami Niemiec - od razu zlikwidował całkowicie swą obecność dyplomatyczną w Austrii. Na rewanż nie trzeba było długo czekać. Niemcy zaakceptowały natychmiast ultimatum Polski wobec Litwy, które ta przyjęła 19 marca 1938 roku. Przyjaźń kwitła w najlepsze, ku naszej zgubie.

Jednak sprawą, która od lat napawa nas wstydem, było wspólne z III Rzeszą rozebranie Czechosłowacji. Sprawa Zaolzia, która od powstania II RP była sprawą dyskusyjną z południowym sąsiadem, Polska postanowiła załatwić na spółkę z dyktatorem, ku jego radości. W opinii światowej, bez żadnych już obaw, można było przedstawiać Polaków, jako tych, którzy stać będą wiernie przy Hitlerze. Winston Churchill powiedział wówczas: „Żołnierz polski wyjął Bohumin z plecaka żołnierza niemieckiego”. Co prawda sprawa Zaolzia nie miała żadnego wpływu na los Czechosłowacji, ale propagandowo dla Polski było to posunięcie fatalne. Co ciekawe, dopiero w 2009 roku na Westerplatte prezydent Lech Kaczyński przeprosił oficjalnie

za ten błąd. Aby jednak dokładnie zobrazować to, jak tę sprawę widzieli sami Niemcy, przytoczmy słowa ambasadora Rzeszy - von Moltke: „Swoimi czynami Polska stara się nawet pomagać Niemcom w realizacji naszych planów wobec Czechosłowacji. Podjęcie przez nas kroków nie przeszkodziło aktywności wojskowej ze strony Związku Sowieckiego”.

Coraz bardziej dało się zauważyć, że Polska zorientowana jest na bliższy sojusz wojskowy, wymierzony oczywiście w ZSRR. Nijak się to ma do testamentu Piłsudskiego, który w polityce zagranicznej zalecał „równowagę sił”, rozkładania elementów nacisku po równo. Józef Beck postawił na Niemcy, o żadnej równowadze mowy być nie mogło.

Szokujące jest to, że kilkadziesiąt lat po wojnie znany historyk prof. Paweł Wieczorkiewicz uważał, że Marszałek Edward Śmigły-Rydz winien ramię w ramię maszerować z Hitlerem na Moskwę!

Polski patriotyzm tak nadmuchiwany w czasach sanacyjnego reżimu w chwili próby okazał się nic nie wartą wydmuszką. Zarówno polski rząd jak i naczelny wódz w chwili największego zagrożenia we wrześniu 1939 roku po prostu uciekli z kraju zostawiając na pastwę losu obywateli, którzy nie bacząc na zdradę spełnili swój obowiązek należycie.

* * *

Z czego więc dumny jest redaktor Zychowicz? Widocznie skupił się jedynie na wąskiej elicie, epatującymi wzniosłymi patriotycznymi frazesami. Czy była to, jak pisze autor, „postawa służebna wobec społeczeństwa”? Bardziej adekwatne jest tutaj określenie służalcza postawa wobec elit większości społeczeństwa II RP. Dumy w tym nie widzę. Charakterystyczne jest to, że Katyń, w którym zginęło ponad 20 tys. polskich oficerów jest dziś uważany za symbol wymordowania polskich elit. I to słowo klucz „elity” budzi mój sprzeciw. Kiedy na Wołyniu dochodziło do rzezi ukraińskich faszystów na zwykłych Polakach, to nie uznaje się dziś tego, jako symbolu. Może dlatego, że kilka razy więcej osób, które tam zostało wymordowane nie należało do elit... Niestety dziś wybiela się zarówno sanacyjny system jak i jego elity, które w chwili gwałtu na ojczyźnie w znacznej części zrejterowały. Widocznie dla niektórych polityków i publicystów honor ma pejoratywne znaczenie...

Przemysław Prekiel, publicysta

Bibliografia:

1. Andrzej Garlicki „Piękne lata trzydzieste”, Warszawa 2008, wyd. Prószyński i S-ka
2. Eugeniusz Guz „Zagadki i tajemnice kampanii wrześniowej”, Warszawa 2009, wyd. Bellona
3. „PRL bez uprzedzeń” Jakub Majmurek i Piotr Szumlewicz, Warszawa 2010, wyd. Książka i Prasa.
4. Krzysztof Dunin-Wąsowicz. Historyk, socjalista, pamiętnikarz, wywiad-rzeka, rozmawia Przemysław Prekiel, Warszawa 2012, wyd. Książka i Prasa.